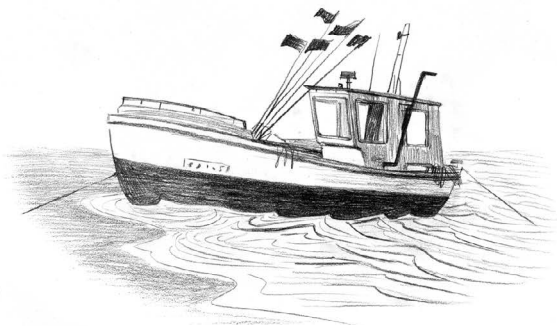


PHILO, KOT W DRODZE



Katarzyna Ryrych



Katarzyna Ryrych
Philo – kot w drodze

© by Katarzyna Ryrych
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka i ilustracje:
Joanna Rusinek

Redakcja i korekta:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I
w Wydawnictwie Literatura

ISBN 978-83-7672-717-2

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2019
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl

SERGE i KRACIASTY KOC

Jest mi wstyd.

Gdybym był człowiekiem, wyjechałbym na koniec świata i zmienił tożsamość. Albo zrobiłbym sobie operację plastyczną. Ale nie jestem.

Mówią, że jestem bardzo mądry, nawet za bardzo. Pewnie dlatego dali mi na imię Philo. Czyta się „filo”, ale pisze się przez „ph” jak *philosophus*.

Gdyby pisało się normalnie, przez „f”, moglibyście pomylić mnie z Filonkiem. Filonkiem Bezogonkiem, tym z książki dla dzieci.

Ja na szczęście mam ogon – podobno najwspanialszy na świecie, rude, gęste futro i zielone oczy.

Całkiem niedawno odkryłem, że jestem kotem Dziadka. I wcale nie dlatego, że to on nadał mi imię, ale dlatego, że Dziadek zawsze miał czas. Nawet kiedy siedział przy komputerze albo z książką na kolanach, nigdy nie wołał: „Pssssssssik!”, tylko delikatnie zdejmował mnie i stawiał na podłodze.

A mnie się wydawało, że jestem kotem Wnuka!

Oczywiście kiedy byłem mały, to Wnuk organizował najdziwniejsze zabawy i gonitwy po całym domu. Wyskakiwaliśmy na siebie z dobrze zamaskowanych kryjówek i trwało to tak długo, jak długo trwało moje dzieciństwo.

Nie wiem, kto pierwszy przestał być dzieckiem – ja czy Wnuk. Faktem jest, że coraz częściej przesiadywałem na kolanach Dziadka albo wylegiwałem się na stosach książek piętrzących się na jego biurku.

Gabinet Dziadka pachniał trochę kurzem, od którego kręciło w nosie, trochę lawendową wodą po goleniu, a trochę fajkowym tytoniem. Ten fajkowy zapach nie za bardzo mi odpowiadał, pomimo że Dziadek, zapalając



fajkę i pykając z niej miarowo, zwykł powtarzać pewien śmieszny wierszyk, którego uczył Wnuka, gdy ten był małym chłopcem:

– Opowiem ci bajkę, jak kot palił fajkę...

Na ścianie honorowe miejsce zajmował portret Babci, która odeszła dawno, dawno temu, gdy jeszcze ani Wnuka, ani mnie nie było na świecie.

Kiedy zapadał zmierzch, Dziadek zapalał fajkę i długo wpatrywał się w portret.

– Tak, tak... – Puszczął niebieskie kółka, które bezskutecznie usiłowałem złapać. – *Tempus fugit**

Tempus fugit – to po łacinie, i znaczy tyle, że czas mija. Jako kot nie bardzo zdawałem sobie sprawę z tego, czym jest czas – po prostu dzień płynął za dniem, jeden słoneczny, drugi deszczowy, ten ciepły, tamten chłodny, mijały pory roku – opadały liście, zakwitały kwiaty, odlatywały ptaki, motyle przysiadły na oknie.

* Kot Philo, jako kot należący do filologa klasycznego, siłą rzeczy do swojego słownika włącza kilka najczęściej używanych sentencji (z wyjątkiem cytatu z Plutarcha, który po prostu wpadł mu w ucho i przydał się zupełnie niespodzianie – patrz strona 136) z tego prostego powodu, iż koty, jako stworzenia niesłychanie inteligentne, mają zwyczaj trafnego a krótkiego komentowania otaczającej je rzeczywistości... Wziąwszy pod uwagę, że nie każdy musi być filologiem klasycznym lub kotem filologa klasycznego, zamieszczam ich tłumaczenie i, jako że od dziecka mam zaszczyt mieszkać pod jednym dachem z kotami, pozwoliłam sobie na dodanie niezbędnych komentarzy – autorka.

Tempus fugit (z łac. ‘czas ucieka’) – tu akurat nie ma co komentować... jeśli spóźnisz się na śniadanie, zawsze znajdziesz się jakiś obzartuch, który najpierw sprawdzi, co zawiera twoja miska...

A ja miałem coraz mniej chęci na gonitwy po domu i skoki za myszką.

I znaczyło to – że się starzeję.

Coraz więcej przyjemności sprawiało mi zwyczajne leżenie w słońcu na parapecie w gabinecie Dziadka, kiedy aksamitne promienie przenikały przez gęste futro, a miłe ciepło rozpływało się po całym ciele – od czubków uszu do koniuszków łap.

Podobnie musiał czuć Dziadek, bo często siadywał na tarasie, opierał na kolanach dłonie i wysuwał z kapci bose stopy.

A kiedy słońce już dostatecznie nas wygrzało, szliśmy do kuchni – Dziadek na kubek kawy z mlekiem, a ja – na porcję ryby albo kleksik śmietanki.

I takie były nasze drobne przyjemności.

Oczywiście nie siedzieliśmy cały czas w domu – Dziadek wychodził na partię szachów do Pana Ramola z sąsiedniego domu, a ja... cóż, jak każdy kot miałem swoje ścieżki.

Kiedy znikalem między zielonymi łodygami pysznogłówki, Dziadek uśmiechał się do Pana Ramola i mówił, że idę na patrol.

Oczywiście żadne patrole nie były mi w głowie – po prostu miałem parę specjalnych mysich dziur, ukrytych w kącie ogrodu, i tyle.

Rzecz jasna, nigdy nie byłem na tyle głodny, aby pożywiać się myszami, ale oczekiwania, aż w norze pojawi się wąsaty pyszczek lokatorki, nie dało się porównać z niczym innym.

Adrenalina. Właśnie tego słowa ostatnio Wnuk używał najczęściej, opowiadając o wyprawach na ryby.

Dzięki niemu zrozumiałem, że cała przyjemność z polowania to ten moment, kiedy dostrzeże się zwierzynę...

Pewnie gdybym był piwnicznym albo bezdomnym kotem, nigdy nie poznałbym tego uczucia... ale miałem szczęście trafić z rodzinnego gniazda wprost do domu Dziadka i Wnuka jako zupełnie małe, nieporadne kocię i od dziecka uczyłem się świata ludzi.

Często nie mogłem pojąć, dlaczego tak bardzo komplikują sobie życie, ale widać taka już była ich natura i, prawdę powiedziawszy, w najmniejszym stopniu nie czułem się powołany, aby cokolwiek w niej zmieniać.

Zresztą – kto z ludzi byłby na tyle szalony, aby wdawać się w filozoficzne dysputy z kotem? Może tylko Dziadek.

Ale Dziadek był profesorem filozofii i podobno, zanim pojawiłem się w jego domu, prowadził długie dysputy sam ze sobą, więc kiedy się zjawiłem – mógł dyskutować dalej zupełnie śmiało, bez obaw, że ktoś uzna go za szaleńca.

Podobnie Pan Trotel, który razem z Dziadkiem w parne, letnie popołudnia czytywał Wergiliusza w oryginale, prowadził niekończące się dysputy ze swoim psem.

Jakoś nie za bardzo to sobie wyobrażam, bo psy nie potrafią usiedzieć ani chwili spokojnie w jednym miejscu, a jeżeli już, to cały czas poświęcają na iskanie się zębami, a nie na słuchanie.

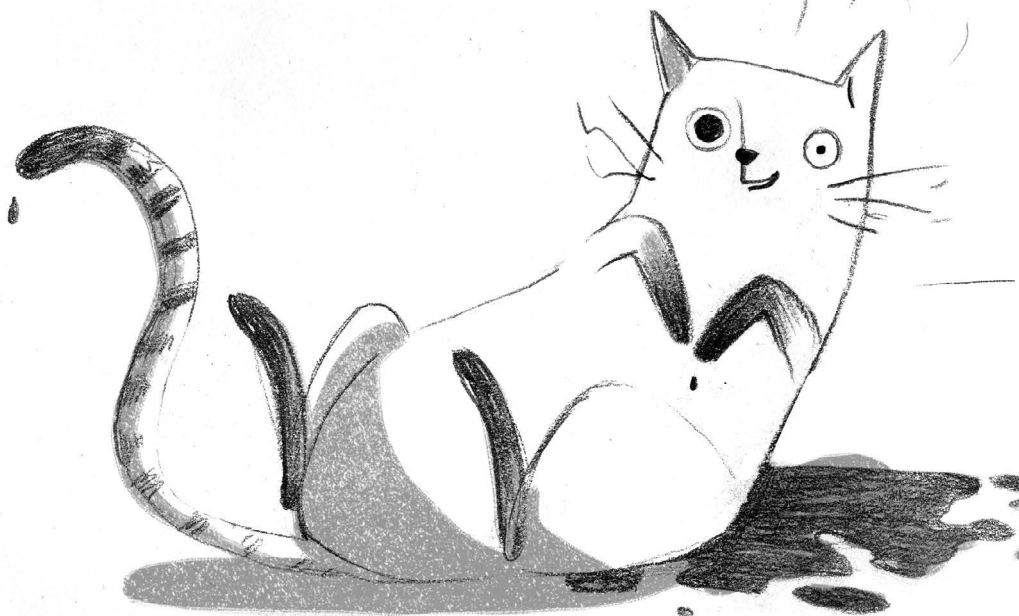
Oprócz tego, że *tempus fugit*, dowiedziałem się od Dziadka, że mam serce. Na początku nie bardzo rozumia-

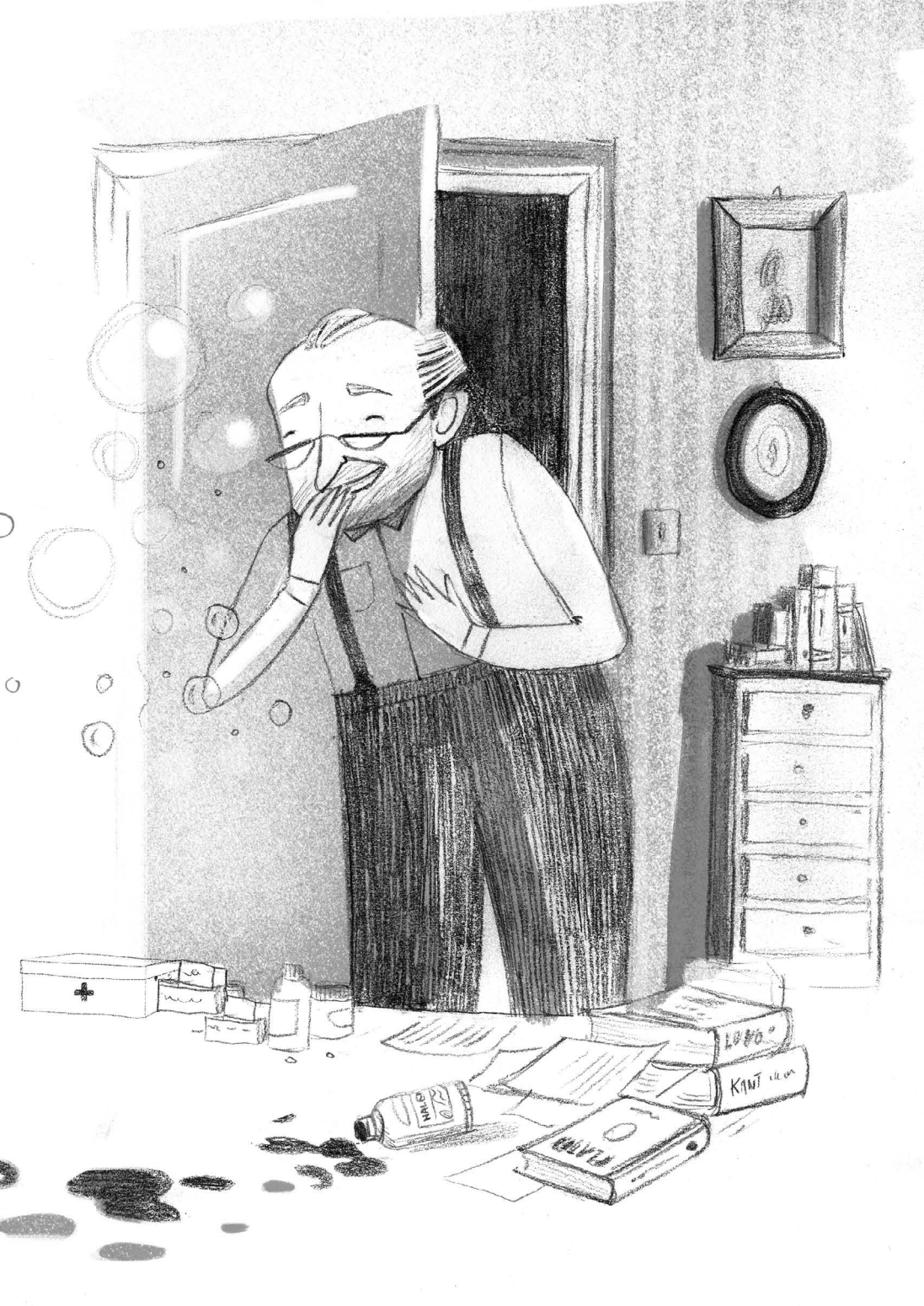
łem, czym ono jest, ale kiedy pękło na tysiąc kawałków i cały świat, w którym wiodłem beztroskie i leniwe życie, rozpadł się w pył – zrozumiałem.

Jak już mówiłem, nie bardzo odpowiadał mi zapach fajkowego dymu, za to krople, po które od czasu do czasu sięgał Dziadek, były... no, nie dało się ich z niczym porównać! Od ich zapachu słodko kręciło się w głowie, świat robił się tak samo bajkowy i beztroski jak za dawnych lat i – uwierzcie – chciało mi się brykać i wywracać koziolki, zupełnie jakbym był kocięciem.

Pewnego dnia buteleczka wypadła z rąk Dziadka i wszystko wylało się na podłogę – zanim Dziadek powrócił ze ściereczką, zdążyłem już krople polizać i na dodatek porządnie się w nich wytarzać.

Przyznaję, niewiele pamiętam z tego wydarzenia, może tyle tylko, że Dziadek śmiał się tak głośno jak





Święty Mikołaj i trzymał się ręką za lewy bok. A potem – chyba ten śmiech go tak zmęczył – musiał usiąść w fotelu. A ja poczułem nagle senność nie do przewyciężenia i ostatkiem sił dobrnąłem do wyścielanego krzesła, na którym lubiłem ucinąć sobie drzemkę.

Niestety, łapy odmówiły mi posłuszeństwa, zrobiły się dziwnie miękkie i zasnąłem tam, gdzie stałem, to znaczy obok mojego ukochanego krzesła, na podłodze, jak byle koci chłystek zgoniony po zabawie myszką. Wstyd się przyznać, ale za to szaleństwo zapłaciłem bólem głowy i suchością w pyszczku...

Zdziwiło mnie jedno – nie widziałem, aby po zażyciu owych kropli Dziadek robił jakieś dziwne rzeczy – wręcz przeciwnie. Z jego twarzy ustępowała bladość, na policzki powracał lekki rumieniec, paznokcie z niebieskawych robiły się całkiem zwyczajne, a lewa ręka przestawała przyciskać bok.

Widocznie różnic pomiędzy ludźmi a kotami było więcej, niż mi się zdawało.

– Serce – stwierdził pewnego dnia Dziadek, napotkawszy mój pytający wzrok. A kiedy wskoczyłem mu na kolana, przyłożył mój łeppek do lewego boku i usłyszałem, jak pod kraciastą koszulą coś stuka.

Kiedy wieczorem ułożyłem się do snu, usłyszałem bicie mojego własnego serca. Tłukło się jak mysz przyduszona łapą do ziemi i słuchałem jego bicia tak długo, dopóki nie zasnąłem.

NA RATUNEK

Fakt, że podobnie jak Dziadek mam serce, sprawił, że poczułem się kotem Dziadka. Od tamtego dnia nabrałem zwyczaju wskakiwania na dziadkowe kolana i przytulania głowy do jego lewego boku, tuż obok kieszonki, w której trzymał zdjęcie Babci. Wtedy Dziadek żartobliwie nazywał mnie „panem doktorem” i drapał za uszami, a ja, jak mały kociak, wywracałem się na grzbiet.

Rzecz jasna, nie pozwalałem zbyt długo głaskać się po brzuchu, ale pilnowałem, żeby moje pazury jak najdłużej zostały schowane, i zeskakiwałem z kolan dopiero wtedy, gdy zaczynały tracić cierpliwość.

Czasami do Dziadka przychodził prawdziwy Pan Doktor. Parkował swój duży, czarny samochód tuż przed bramą naszego domu ku uciesze Parkowego Gangu. Trzy bure kocury żyjące w okolicy od niepamiętnych czasów wybiegały spomiędzy szpaleru tawulek i z uniesionymi ogonami biegły w stronę samochodu, gdzie...

Starczy powiedzieć, że podwozie samochodu Pana Doktora miało, zdaniem ludzi, niezbyt przyjemny zapach.

Działo się tak za sprawą pewnej syjamskiej kotki, która dzieliła dom z Panem Doktorem, ale szczerze wątpię, by choć raz pofatygowała się, aby odczytać pozostawione dla niej wiadomości.

– *Noblesse oblige** – mawiał wtedy Pan Doktor, który, podobnie jak Dziadek, był Dwunożnym Wykształconym, a znaczyło to mniej więcej tyle, że szlachetnie urodzeni nie wachają podwozia czy coś w tym sensie.

Pan Doktor był szkolnym kolegą Dziadka i dlatego odwiedzał go po godzinach. Był chudy i wysoki, nie palił fajki, ba, nawet odradzał to Dziadkowi, ale ten twierdził, że niewiele przyjemności już mu pozostało i fajka dalej leżała na swoim miejscu na biurku.

Czasami Pan Doktor zostawał na partię szachów i wtedy Dziadek musiał sięgnąć po fajkę, gdyż, jak twierdził, pomaga ona w myśleniu. Wtedy Pan Doktor ostentacyjnie otwierał okno, a ja, korzystając ze sposobności, wyskakiwałem do ogrodu. Zwykle był to wieczór, więc mogłem do woli wsłuchiwać się we wszystkie tajemnicze odgłosy – tupot drobnych łapek w trawie, cykanie koników polnych, popiskiwanie świerszcza ukrytego w stosie drewna do kominka.

Czasami w parku pohukiwała sowa albo do moich uszu dolatywały wrzaski Parkowego Gangu, na którego teren wkraczała Banda z Mleczarni.

Uśmiechałem się pod nosem, słuchając tych awantur – ostatecznie byłem kimś innym, kimś, kto wie, że arystokraci nie wachają szczyń na podwoziu, że *tempus fugit* i że zarówno koty, jak i ludzie, mają serce.

* *Noblesse oblige* (z fr. ‘szlachectwo zobowiązuje’) – szlachetnie urodzony nie wacha szcz... to znaczy wiadomości pozostawionych na zderzaku samochodu, choćby to był nawet rolls-royce... Szlachetnie urodzony to po prostu wie. Intuicyjnie.

Ze wszystkich pór dnia najbardziej kochałem wieczory. Oczywiście, że wygrzewania się w słońcu nie da się z niczym porównać, ale wieczór był porą nieskrępowanej swobody. O tej porze cały ogród należał do mnie... Każdy krzaczek, każda kępa trawy, wszystko kryło w sobie tajemnice i trzeba było tylko chwilkę cierpliwie poczekać, aby sekret sam się objawił – polna mysz, żaba, jeź spieszący gdzieś z głośnym tupotem...

A kiedy już nasyciłem się do woli nocą, światłem księżyca rozlewającym się jak woda po tarasie, zawsze mogłem wrócić do domu przez otwarte okno...

I nigdy, ale to nigdy nie przyszło mi do głowy, że kiedyś wyjdę poza bramę ogrodu i przekonam się, że noc nie jest wcale bajkową, bezpieczną porą...

Wszystko zaczęło się w dniu, gdy jak co dzień wskoczyłem Dziadkowi na kolana i przytuliłem głowę do jego piersi.

Serce uderzało jak zwykle, ale w rytmie jego bicia wy czułem coś, co mnie zaniepokoiło. Tak jakby zatrzymywało się na jedną małą chwilkę i z wysiłkiem ruszało dalej.

Zeskoczyłem na podłogę i głośno zamiauczałem, ale Dziadek wcale nie zwrócił na to uwagi, tylko sięgnął po leżącą na biurku książkę.

– *Sic transit gloria mundi** – pogłaskał mnie od głowy aż po koniec ogona.

* *Sic transit gloria mundi* (z łac. ‘tak przemija chwała świata’) – najwyraźniej Dziadek zdawał sobie sprawę, że za chwilę nastąpi coś, co w zasadniczy sposób odmieni życie kota Philo... Kot Philo nie zdawał sobie sprawy z tego, co pociągną za sobą owe zmiany...

Pomyślałem sobie, że to niemożliwe, żeby wewnętrzny głos nie podpowiedział mu, że coś się zepsuło, i potrudziłem się do stolika, w którego szufladzie trzymał krople.

Wspiąłem się na tylne łapy i parę razy drapałem w drewnianą nogę.

– Chyba nie uzależniłeś się od waleriany? – zapytał Dziadek.

W odpowiedzi zamiauczałem głośno.

Dziadek odłożył książkę i nagle chwycił się ręką za lewy bok.

– Philo... – jęknął cicho i osunął się na fotel.

Znałem już taki głos.

W piwnicy, gdzie przyszedłem na świat, oprócz mnie byli jeszcze moi bracia i siostry. Ale z całej czwórki przeżyłem tylko ja, chociaż byłem najmniejszy i najsłabszy...

Nie wiem do końca, co się stało, ale pewnego dnia odkryłem przy sobie chłodne, sztywne ciało Dwójki...

Następnego dnia odeszła Trójka – nie opierała się chorobie długo i zgasła cichutko, tak, że nawet matka nie zorientowała się, że odchodzi następne z nas.

Za to Jedyńka – być może dlatego, że był największy i najsilniejszy – umierał długo i boleśnie. Już wcześniej wiedziałem, że jest z nim coś nie tak, bo nagle, ni z tego, ni z owego przestał się bawić i cały dzień spędził zwinięty w kłębek.

Sunąc na brzuchu, podkradłem się do brata, żeby capnąć go za ogon, ale w jego oczach dostrzegłem coś takiego, że minąłem go i zacząłem kręcić się za własnym ogonem.

Nagle brat mój wyprężył się, miaucząc boleśnie, a potem znowu zwinął się w kłębek.

Matka polizała jego suchy, matowy nos i zajęła się moją toaletą. Człowieka zapewne zdziwiłaby jej obojętność, ale wewnętrzny głos, który kieruje nami, musiał podpowiedzieć jej, że do piwnicy zakradło się niebezpieczeństwo...

Jedynek nie próbował – a może nie miał siły jej wołać. Leżał z zamkniętymi oczyma i od czasu do czasu drżał, cicho pomiaukując.

Matka podchodziła do niego jeszcze parę razy, ale pozostawiła go tam, gdzie leżał, oddychającego coraz wolniej i jęczącego coraz żałośniej.

Jego ostatni jęk, po którym zapadła cisza, obudził mnie ze snu. Mocno zacisnąłem powieki i wsunąłem się pod brzuch matki tak, aby nie docierał do mnie nawet najcichszy dźwięk...

Spojrzałem na Dziadka. Leżał w fotelu tak, jak gdyby spał. Wskoczyłem mu na kolana – jego serce biło słabo i urywanie, ale mimo wszystko biło.

Rzuciłem się do drzwi, zawisłem na klamce i kiedy ustąpiły, pomknąłem do pokoju Wnuka.

Pokój był pusty.

Zbiegłem ze schodów, jeszcze raz wskoczyłem Dziadkowi na kolana, a potem przez uchylone okno wybiegłem do ogrodu.

Mur otaczający ogród na szczęście nie był wysoki – ale dla kota w moim wieku stanowił wyzwanie. Po kilku próbach udało mi się na niego wskoczyć.

Wewnętrzny głos ponaglał mnie, a ja nie bardzo wiedziałem, co mam robić.

Próbowałem głośno miauczeć, wzywając pomocy, ale oprócz chłopaka przechodzącego obok, który zwrócił mi uwagę, że to nie marzec, nie pojawił się nikt inny.

Ulicą przemknął samochód.

Moje serce wykonało jakiś dziwny podskok – do gardła i z powrotem.

Serce – pomyślałem – samochód. Oczywiście, poznałbym to auto na końcu świata, ale nie dlatego, że miałem taki dobry wzrok.

Ciągnął się za nim podpis Parkowego Gangu, co mogło oznaczać tylko jedno – samochód należał do Doktora...

Skoczyłem w dół.

Moje łapy, nienawykłe do chodnikowych płyt, ugięły się pode mną i uderzyłem brzuchem o ziemię. Siedziałem chwilę oszołomiony, ale w końcu pozbierałem się i ruszyłem śladem przeraźliwego zapachu, błogosławiąc absolutny brak dobrych manier trójki z parku.

Samochód zniknął za zakrętem, ale biegłem uparcie jego śladem.

Minęło mnie jakieś auto, trąbiąc głośno. Pęd powietrza nastroszył mi futro na grzbiecie i w normalnej sytuacji na pewno rozpląszczyłbym się na jezdni, zamykając oczy, ale to nie była normalna sytuacja.

Wewnętrzny głos pchał mnie do przodu. Nie nadążały za nim ani łapy, ani moje własne serce.

Brakowało mi tchu, ale biegłem wciąż dalej i dalej...

